

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 65.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 10/22 grudnia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II

TREŚĆ NUMERU.

Jan Paweł Paweła Woronicz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Niedziela w mieście (z drzeworytem). — Niedziela na wsi (z drzeworytem). — Hrabianka Dynia, obrazek skrócony przez Teod. Tom. Jeza (ciąg dalszy). — Rozmaitości. — Wiek przeszły i terażniejszy (z czterema drzeworytami). — Szachy i rebus.

Jan Paweł Paweła Woronicz.

Rodzina z której pochodził znakomity mówca i wzniosły poeta, stojący razem z Kaźmierzem Bro-

dzimskim na pograniczu dwóch wieków literatury naszej, od bardzo dawna zamieszkała była na Rusi kijowskiej. Woroniczowie, niegdyś liczący się do najzamożniejszych familij tego kraju, spokrewnieni z domami pierwszymi rzeczypospolitą, od XV wieku już historycznie występują, w Kijowskiem i na Wołyniu zajmując znaczne urzędy i przeważnie wpływając na prowincyę. Stopniami jednak rozgałęziona familia ich podupadła nieco majątkowo, rozrodziła się i zmalała, a ostatecznie znaczne dobra Woroniczowskie weszły w dom Działyńskich i kosztem jednej, dźwignęły drugą rodzinę.

Z tej to familii, jeszcze zamożnej, ale już od dawnego blasku dalekiej, urodził się na Wołyniu w powiecie ostrogskim, w jednej z wiosek które rodzice jego Jan, ojciec i matka z domu Jackowska (urodzona z Kmicianki), dzierżawili w tej okolicy.

Braci ich było kilku i siostr także. W młodym wieku, obyczajem ówczesnym, oddany został do najbliższych szkół: najprzód w Łucku, potem do ks. jezuitów w Ostrogu, gdzie oblókłby był zapewne suknię zakonną, gdyby kassata jezuitów nie stanęła temu na przeszkodzie.

Czując wszakże niezłomne powołanie do stanu duchownego, udał się, skończywszy nauki, do Warszawy do ks. missyonarzy, i tu wstąpił do seminarium. Jedną z młodocianych jego poezyj opiewa uczucia, jakich doznał za przybyciem do spokojnej klasztornej ustroni św. Krzyża.

Talenta wcześniej nań bardzo zwróciły uwagę ludzi najczynniejszych wówczas w polskim kościele:

Adama Cieciszewskiego, biskupa kijowskiego, Garnysza, biskupa chełmskiego, a w ostatku samego króla Stanisława Augusta, który rad się otaczał ludźmi wyższych zdolności.

Po roku 1795, gdy zawód publiczny wszelki zdawał się dlań zamknięty, poprzestając na spełnianiu gorliwem obowiązków wiejskiego kapłana, Woronicz usunął się i zamieszkał na skromnym probostwie w Liwie. Charakter jego pełen pokory i głębokiej

spełniał, pracując nad małą swą trzódką, jako nauczyciel zarazem i opiekun ubogich. Wszędzie gdzie tylko los go umieścił, pierwszym jego staraniem było zaprowadzenie szkółek dla ludu i szpitalów, a nad swój wiek wyższe mając pojęcie powinności kapłana jako rozkrzewiciela światła, nawet ludzi obcej wiary przyjmował do tych szkółek i nagradzał za postępek w nauce.

Z Liwu przeniesiony został ks. Woronicz do Kaź-

mierz nad Wisłą, co go do ożywionych wtedy Aten polskich, do Puław, zbliżyło. Właśnie powstawała w tym pięknym ustroniu świątynia narodowych pamiątek, Sybilla, która poetę natchnęła majestatyczną pieśnią. Poemat ten otworzył Woroniczowi progi Towarzystwa przyjaciół nauk, którego jednym z pierwszych został członkiem. Zamieszkał później w Powsinie pod Warszawą, gdzie znowu i szkółki i zakłady dobroczynne tworzyć począł, szczerze zajmując się krzewieniem oświaty w ludzie, nad którego zaniedbaniem moralnym ubolewał, — gdy nastąpiły wypadki skutkiem których powstało księstwo warszawskie. Wezwany przez Fryderyka Augusta na dziekana kapituły warszawskiej i członka Rady stanu, musiał spokojną ustron i swoich ulubionych porzucić kmiotków.

Tu dopiero miał pole z mówcy dla ludu i z wiejskiej kazalnicy, wniść w świetniejsze stolicy towarzystwa i dać się słyszeć i ocenić wyższemu społeczeństwu, które w nim natchnionego znalazło mówcę i poetę razem.

Poetą jest bowiem Woronicz w mowach swoich, tak jak w poezjach jest jeszcze mówcą zarazem, nie wyrzekając się nigdzie swojego charakteru kapłańskiego, swego namaszczenia.

Pamiętniki z tego czasu które go nam malują, wcale opacznie pojęły tę postać wieszczą narodowego i arcykapłana, smutną, poważną i niesącą z sobą wszędzie duszny ucisk boleści, przecierpianej za wszystkich, uczutej goręcej nad innych ludzi. Wśród do-
syc płochego świata, na pół oślepego dobrowolnie, na pół zgłuchłego lub słyszeć niechającego, Woronicz,



JAN PAWEŁ PAWEŁA WORONICZ.

widząc dalej proroczo, słysząc nawet to, czego usta jeszcze nie wyrzekły niczyje, musiał cierpieć boleśniej i nosić widomie ten krzyż, którego nikt na barki wziąć nie chciał. Ztąd ten smutek i strapienie towarzyszące mu wszędzie, ztąd jęk jego pieśni, natchnionych jasnowidzeniem, w których posągowych, kolosalnych kształtach, myśl raczej olbrzymio i potężnie, niż wdzięcznie się przedstawia.

Mało jest ludzi co go pojąć potrafią i oceniają, bo chcieliby pieszczonęj formy, a trafiają na olbrzymie gmachy ciosowe, na których drżąca ręka wielkimi rysy myśl jakby piorunowym węzłem bólu pisała.

Talent i charakter Woronicza tak go już naówczas stawiły wysoko, że po ustanowieniu królestwa polskiego, cesarz Aleksander nie znalazł godniejszego nadeń dla powierzenia mu krakowskiego biskupstwa. Tu Woronicz, wśród tego grodu pamiątek i ruin, znalazł się w swoim żywiole Jeremiaszowskim, z lutnią na gruzach, ... wśród opustoszałych murów, znalazł on pałac biskupów krakowskich opuszczonym dość i potrzebującym podźwignienia i potrafił z niego także uczynić narodowy poemat. Przywiązanie w nim do kraju i do wszystkiego staropolskiego tak było wielkie i silne, że niekiedy przechodziło w mało pojętne dla pospolitych ludzi objawy.

Pragnąc na murach pałacu biskupów wyrazić swoje pojęcie przeszłości, nie wezwał także nikogo z młodszych artystów, ale szukał do malowania kontuszowego człowieka. I miał zaprawdę słusność, czuł bowiem że tylko serce mogło wiernie odtworzyć przeszłość, a nie płatna ręka, choćby najwprawniejszego artysty.

Wnętrze pałacu, pełne obrazów historycznych, widoków, portretów, napisów stanowiących jedną wielką całość epiczną, opisane zostało wiernie przez A. Grabowskiego, a po ostatnim pożarze, który zniszczył tę pamiątkę, część rysunków wydano we Lwowie. Gorliwy kapłan, stawał Woronicz wszędzie w tych czasach za sprawą wiary, karności kościelnej i interesem kościoła, z narażeniem się osobistym, co mogło zjednać mu przeciwników, ale wymogło poszanowanie dla charakteru nieugiętego.

Oprócz restauracji pałacu biskupów w Krakowie, wznosił także własnym kosztem kościół w Jangrodzie, w dobrach należących do biskupstwa krakowskiego. Do tej epoki jego życia należy ów wypadek znany odwidzin ubogiego proboszcza, o którego cnotę, gorliwości i przykrém położeniu usłyszał był ks. Woronicz. Chciał on naocznie przekonać się o człowieku i udał się w okolice Olkusza, (gdzie zacy kapłan przebywał), jako prosty ksiądz podróżny. Tu poznałszy go bliżej, dał mu się też poznać i dzwignął kościółek i probostwo. Takich powieści o jego pokorze, słodyczy i gorliwości wiele krąży, ale ich tu spisywać nie możemy.

Przeniesiony z Krakowa do Warszawy i mianowany arcybiskupem-prymasem królestwa polskiego, ks. Woronicz przewodniczył koronacji cesarza, ale wkrótce potem na siłach i zdrowiu upadać począł.

Czując się coraz gorzej, wyprawiony przez lekarzy do Marienbad, jak wszędzie tak i tu szukał ziomek i otaczał się niemi. Tu zapoznał się on z Mickiewiczem, spędził z nim kilka godzin, ożywił się jego poezją i sam zaimprovizował strof kilka hymnu do N. Panny.

Zmarł złamany chorobą na obcej ziemi, ale zwłoki jego, według życzenia, przeniesione zostały do Krakowa i złożone w grobach katedralnych, ciało wgrobie Załuskich, serce przy Sobieskim.

Pomnik w Warszawie, w kaplicy archi-konfraterni literackiej, postawił mu synowiec; w Krakowie nie zdobyto się nawet na skromny kamień z napisem dla kapłana, wieszczka i mówcy narodowego.

Z rękopisów i druków rozproszonych, bez wiadomości rodziny wydano część dzieł jego, reszta czeka jeszcze w ukryciu, nim się całkowity zbiór prac jego ukaże. W papierach po Brodzińskim znajdować się powinien obszerny życiorys prymasa, skrócony przez przyjaciela i człowieka co najlepiej mógł go pojąć i zrozumieć. Część rękopisów złożona przez rodzinę w bibliotece willanowskiej, dotąd z niej nie mogła być odzyskana; inna w Radomskim w prywatnych rękach się znajduje. W Krakowie zbierał ks. Woronicz materiały do żywota Zbigniewa Oleśnickiego; ale papiery te, wraz z innymi do historii kościoła naszego i korespondencją z Tadeuszem Czackim, powierzone przez brata Wojciecha ówczes-

nemu administratorowi dyecezyi, dotąd odszukane być nie mogły. Spuścizna ta, dla rodziny droga, w braku u nas pojęcia własności literackiej i przez zaniedbanie posiadaczy czasowych, stała się niejako publicznym mieniem, którym dotąd kto chciał rozporządzać. Rodzina jednak, nie zrzekłszy się nigdy praw swoich, zamyśla o całkowitem wydaniu pism ś. p. prymasa.

Do niego ma służyć i wizerunek nieboszczyka (załączony tu w kopii drzeworytowej), sztychowany przez Piwarskiego na miedzi, do którego za wzór służył portret za życia przez Brodowskiego robiony, a dziś znajdujący się u piszącego.

Nie tu jest miejsce oceniać zasługi męża tak znakomitego, jakim był ś. p. prymas, bo może i chwila w której będzie należycie pojętym i osądzonym jeszcze nie przysłała. Wspomnieliśmy już jak niesłusznie i ciasno osądzili go współczesni, gdy jeszcze brzmiał głos jego i pierś pełną była życia; my dziś nie jesteśmy jeszcze tak wolni od zaprzętów i względów różnych, byśmy ostatnie słowo wyrzec mogli.

Ale imię Woronicza błyszczy takim światłem czystym, tak zostało ocenione przez ogół, że rozbiór pism ani sąd o pracach niczy mu nie dodały, jak nic odjąć nie mogą.

Jako mówca nie ma sobie Woronicz równego w swoim czasie; czy to przemawia w wiejskim kościółku do ludu, czy do wykształconych mieszkańców stolicy, serce jego obejmuje cały kraj jednym chrześcijańskim, wielkim uczuciem, i odzywa się głosem zarówno poetycznym, równie wzniosłym do ludu i do możnych.

Potęga słowa w nim wielka, uczucie silne, a dość często zda się jakby walczył ze słowem, które wyróżniać nie może wzniosłości jego ducha. Dojrzysz tam łąco że łyzy i pierś wzbudzona na zimno mu śpiewać ni mówić nie dały, ani myśleć o wdzięku, gdzie mocy tylko szukał.

Nieznam poezji bardziej poruszającej, nad ten hymn do Boga, który mieści w sobie najszczytniejsze strofy, jakie kiedy uczucie religijne natchnęło. Inna struna brzmi w pięknym upominku ślubnym dla Anieli z Wodzińskich Działyńskiej, pełnym uczucia tkliwego. Do znakomitszych utworów także należą rozprawy jego o pieśniach ludu, czytane na posiedzeniach b. towarzystwa przyjaciół nauk, które dziś nie bez korzyści odczytane być mogą, bo i lud i poezją lepiej od innych rozumiał. Oprócz życiorysu przez ś. p. Wodzińskiego, który zaginał, dwie mowy pogrzebowe, kasztelana Wężyka i inna miana w Warszawie, wielkie rzucają światło na życie i dzieła kapłana-poety.

J. I. Kraszewski.

Kronika tygodniowa.

....Bo to z temi nowinami, to trudno nieraz przyjść do ładu.

Kiedy jest jaka błaża, drobna, małoważna, umieścić ją łatwo, ale kogóż ona zajmie? Jeżeli na przykład doniosę wam, że ten albo ów cukiernik urządził u siebie wystawę, że ten sprzedaje kasztany, ów pomarańcze smażone w cukrze, a na nadchodzące święta w każdym sklepie korzennym świeżych bakalij dostać będzie można, — to gotowicie utrzymywali, niewdzięczni, że istnieją jeszcze na świecie więcej zajmujące wypadki.

A gdy znów wydarzy się jaka nowina, o którą każdy zapytuje: „a co tam?“ „a jak tam?“ „a powiédźno coś słyszał?“ „a czy to prawda co mówią?“ to gdy się zabiorę do opisanja jój, nie wiem doprawdy jak wyjść z trudności, żeby moją białą (kolor niewinności) sukienkę dziennikarską nie zaczepić po drodze o różne pretensye, przywidzenia, niezadowolenia.

Pan Królikowski powrócił już z Krakowa. Żeby użyć mitologicznego porównania, powiemy że jak ów olbrzym italski, dotknąwszy się stopą matczyną ziemi swojej, tej ziemi która go wypiastrowała, artysta nasz nowe siły zyskał, nowym ogniem zapłonął. Chwilowy pobyt jego w Krakowie przypomniatł tamednemu teatrowi dawne dobre czasy; publiczność przyjmowała go z zapalem, który rósł za każdą nową rolą, przedstawioną przez ten tak różnobarwny a obszerny zakres talent. Na naszej bowiem sce-

nie, której p. Królikowski od tylu lat stał się ozdobą, nie znamy nawet jeszcze wszystkich odcieni gry jego, a najmniej może role w których p. Królikowski najbardziej celuje. W Krakowie przypomniatł on sobie część dawnego repertoaru, a odgłos sprawozdań tamedznego dziennika upewnił nas, że talent jego nie utracił nic z dawniej siły, z dawniej męzkości. Podobno p. Królikowski z powrotem swoim szersze aniżeli dotychczas obejmuje stanowisko, a nie wątpimy że wsparty wytrawnym doświadczeniem, dobrze wywiązać się zeń potrafi. Posiada on dość powagi i uznanych już zasług, ażeby silną ręką ująć ster władzy sobie powierzony.

Teatr Dobroczyńności, zachęcony powodzeniem dwóch przedstawień, wyjątkowym sposobem przekroczył tę liczbę, i amatorowie trzykrotnie powtarzali swoje role przed pełnymi ławkami, czego dotychczas, prawdę mówiąc, nie było u nas jeszcze przykładu. Jest to najlepszym dowodem, że gorliwe starania i umiejętne wzięcie się do rzeczy, zawsze pożądanym odnoszą skutek. Mało komu wiadomo, ile to zabiegów, ile pracy kosztuje zebranie się takiego teatru, mało kto ma pojęcie, przez jakie trudności przechodzić muszą członkowie Towarzystwa, zarządzający komitetem zabaw, z jakimi przeszkodami walczyć im przychodzi. Ale też każda zasługa tém większego godna jest uznania, im mniej rozgłosu zyskuje.

Teatr amatorski na założenie ochronki w Żychlinie, o którym uprzednio donosiliśmy, odbył się już i podobno z wielkim powodzeniem, bo powtórzone, czy też miano powtórzyć odegrane sztuki, któremi były: Narzeczona J. Korzeniowskiego i Po naszymu Józefowicza. W Kutnie również ma się odbyć teatr na dochód tamedznego szpitala. Sztuka szczęśliwie wybrana, bo wesoła i sympatyczna: Łobzowanie Anczyca. Korzystamy z tej sposobności, żeby autorowi Łobzowian uczynić zarzut, na jaki od dawna już zasłużył. Dlaczego tak długie w dziedzinie scenicznej zachowuje milczenie? Komu Bóg dał talent, a uznanie publiczności zapewniło powodzenie, ten nie powinien marnować tych pięknych darów, i postępować dalej na drodze tak wdzięcznie przyjmowanej pracy. Tytu jest piszących pomimo niepowodzenia, a pana Anczyca miałożby nie zachęcić powodzenie? Nie chcemy temu wierzyć, zwłaszcza że przekonani jesteśmy, że teatru nasze zawsze chętnie otworzą wrota dla tak utalentowanego pracownika.

Powracając do teatrów amatorskich, dodamy że znaczna ich liczba szykuje się jeszcze w wielu miejscach na prowincyi, a wszystkie na cele dobroczynne. Dobra to zabawa, zwłaszcza kiedy połączona z tak pożytecznym celem, a ofiary, które innym sposobem z trudnościaby może wpłynęły, sypią się chętnie w takich razach, bo zawsze ciekawość była i będzie jedną z głównych ludzkich pobudek. Że zaś ubogich u nas niemało, amatorom nie zbraknie zajęcia.

Sprawozdania o koncertach defraudowanym tylko sposobem należą do mnie; jest na nie osobna rubryka w Tygodniku, więc nieinaczéj jak ostrożnie przybliżać mi się wolno do wyżyn sztuki. W każdym jednak razie notuję tu fakt o bezprzykładnym prawie zapełnieniu sal reutowych na ostatnim koncercie Moniuszki, co samo już dowodzi ile wzbudza współczucia pomiędzy publicznością nazwisko utalentowanego dyrektora naszej orkiestry. Nie zasypia on też sprawy, i sam już skład koncertu przekonywa nas, ile dla Warszawy szykuje się pożądaných nowości muzycznych. Zapowiedziane są także koncerty Lotta i Dreischocka, a że pora stosowna, więc i powodzenie nie chybi zapewne.

Na jednym z publicznych zebrań zdarzył się następujący wypadek:

Pewna dama miała na głowie girlandę z siedmiu róż, a pięknej jój twarzyczce nowego wdzięku przydawała czarna plamka na brodzie, stanowiąca owę muszkę, tak poszukiwaną w zeszłym wieku we Francyi, że ją sobie ówczesne damy umyślnie przyklepiały.

Jakiś pan, przez pewien czas pilnie przypatrując się tej damie, odwrócił się nagle do nieznanego sobie sąsiada i zapytał:

— Czy nie wiesz pan przypadkiem kto jest ta pani, co ma siedm kier na głowie, a asa pikowego na brodzie? Gdybym był na ręku, pędziłbym do ósmiu bez atu.

— Nie radzę panu pędzić, bo to moja żona, odpowiedział mu zagadnięty.

— A kiedy tak, to pas, odrzekł dowcipniś kłaniając się.

Z ważniejszych dzieł wyszła w tych czasach, nakładem Michała Glücksberga, *Historja literatury polskiej* przez Juliana Bartoszewicza. Szanowny historyk z niektórymi żyjącymi autorami postąpił sobie trochę na wzór dawnych sądów egipskich, które, jak wiadomo, z umarłymi miały do czynienia. Odsądził on ich nawet od honoru pogrzebowego; ale ponieważ znów za to innych za bardzo pogrzebał, więc jakoś nikt nie ma krzywdy. Lecz żarty na bok: jest to dzieło opracowane sumiennie, chociaż dla treściwości swojej wszystkiego objąć nie mogło. Wkrótce zapewne podamy czytelnikom, pod właściwą rubryką przeglądu piśmienniczego, krytyczne jego ocenienie.

Do jakiej taniości przyszły wyroby fotograficzne za granicą, za dowód służyć może, iż wiedzieliśmy tu na miejscu sprzedawane spinki z perłowej macicy, na których osadzone bywają małe fotografowane wizerunki rozmaitych europejskich znakomitości, odznaczające się wielkiem podobieństwem i dokładnością wyrobienia. Cena tych spinek wynosi tylko piętnaście groszy za sztukę, a przecież sprzedający musi coś na nich zarobić. Innym, daleko praktyczniejszym użytkiem, na jaki fotografia w tych czasach naprowadziła, jest kopiowanie starych, zatartych już prawie rękopisów. Wychodzą tym sposobem nawet znaki atramentowe na pergaminie, których już żadną miarą gołym okiem czytać nie było można.

Należy się od nas wzmianka niedawno założonemu za pomocą składek sklepowi w Suchedniowie, przeznaczonemu do wyłącznego użytku urzędników i oficyalistów górniczych. Ważny to fakt, a samo onego istnienie dowodzi już jak wiele zbawiennych ulepszeń moglibyśmy przeprowadzić, byle tylko dobra wola i zgodne siły były ku temu. Życzymy tej pięknej inicjatywie niezachwianego powodzenia i nie wątpimy o niem.

Towarzystwo naukowe krakowskie, mianowało w tych dniach członkiem swoim zasłużonego naszego malarza Aleksandra Lessera. Tenże sam artysta otrzymał od króla szwedzkiego wielki medal złoty zasługi, z napisem „Litteris et artibus.“ Jest to pierwszy medal udzielony przez Karola XV po jego wstąpieniu na tron.

O akcyje towarzystwa sztuk pięknych dopytują się ze wszech stron i zdaje się że rychło po swoim ukazaniu się na widok publiczny będą one rozkupione.

W jednej z zeszytych kronik naszych wyliczaliśmy krytyki wymierzone przeciwko Barbarze Radziwiłłównie pana Simmlera, dziś zaś możemy przytoczyć rozmowę tyczącą się tego obrazu, którą zdarzyło nam się podsłuchać.

— To przesłizne dzieło, mówił jeden z odwiedzających wystawę.

— Zapewne że przesłizne, odezwał się drugi, szkoda tylko że mało kto zna się na prawdziwej jego wartości.

— E, nie mów tego, wszakże widziałeś tyle osób przychodzących jedynie prawie dla widzenia tego obrazu; to samo jest już dowodem należytego jego ocenienia.

Pessimista machnął ręką.

— Przychodzą bo przychodzą, odpowiedział, ale nie dlatego że się znają, tylko dlatego że widzą tu innych. Ludzie się gną zwykle tam, gdzie jest tłumnie, a chwałę na wiarę drugich.

— Bo ty znów we wszystkiem złą stronę upatrujesz. A co na to powiesz? czyliż to nie jest dowodem prawdziwego wrażenia jakie ten obraz obudza?

I to mówiąc, wskazał mu ręką dwie damy, które przyglądając się nieżywej Barbarze, zakrywały twarze chustkami.

— Te dwie panie?

— A tak jest. Czyż nie widzisz? one płaczą.

— I ty myślisz że to nad losem Barbary?

— A jakżby inny mógł być powód ich łez?

— Dziecko jesteś, one płaczą że nie mogą mieć tak pięknych koronek i atlasów, jak ta oto zmarła królowa.

Wyborny sposób tłumaczenia uczucia! nieprawdaż?

Wspominałem już o teatrze amatorskim na Dobroczyńności.

Wiadomo że w przedstawieniach tego rodzaju najtrudniejszą zawsze dourządzenia jest część muzy-

czna; więc podjęcie się uorganizowania tej części jest prawdziwem poświęceniem.

Jeden z członków Towarzystwa Dobroczyńności, obarczony tym trudnym obowiązkiem, a znajomy z całym naszym światem muzycznym, obiegił przez trzy dni połowę niemal Warszawy, w zamiarze zebrań amatorów do utworzenia całości muzycznej. Ale nie udawało mu się jakoś: ten miał chrypkę, ta była nieusposobiona, ta znów solennie przyrzekła sobie, że nie będzie występować publicznie, słowem, jak to mówią, oddaj się Bogu, a wleź w konopie, nie szło i nie szło coraz gorzej. A tu czas był wielki, dzień na teatr naznaczony, amatorowie pouczyli się ról i nie można było czekać.

Nasz organizator, który sam mi te wszystkie swoje kłopoty rozpowiadał, zroszczony, przestał już stuknąć do drzwi znajomych, i w miarę jak zasłyszal gdzie o jakim talencie, a wiadomo że ich u nas nie braknie, począł nawet udawać się do nieznanym sobie osób, odzywając się w imię sprawy ubogich.

A brak mu już było tylko jednego głosu kobiecego.

Udaje się więc do domu, w którym mu wskazano adres osoby bardzo muzycznej, i puka do drzwi.

Służąca otwiera.

— Co to?

— Pragnąłbym się widzieć z panią.

— Kto pan jesteś?

— Powiedz pani, że to ktoś z Dobroczyńności i że ma do pani bardzo pilny interes.

— Niech pan poczeka.

Czeka więc. Za kilka minut służąca się zjawia napowrót.

— No i cóż?

— Pani nie może się widzieć z panem.

— Ale przecież kazała coś powiedzieć?

— Kazała powiedzieć: niech Pan Bóg opatrzy.

I rzekłszy to, zamknęła mu drzwi przed nosem.

A teraz, starym obyczajem, pozdrawiamy was, czytelnicy, z temi nadchodzącymi świętami i łamiemy się chlebem Bożym, który za dwa dni wszyscy rodacy nasi będą z sobą dzielili społem. Piękna to i uroczysta chwila, prawdziwe święto rodzinne. Ale myśl chrześcijańska tego obrzędu wychodzi poza obręb szczupłych ścian domowych. Tutaj rodziną jest cały kraj, całe społeczeństwo nasze. I bogdajby tak było. Są tacy którzy szanują przeszłość naszą jako świętość nietykalną, są inni znów którzy zarzucają jej mnóstwo niedostatków; my w tej przeszłości, dobrze zrozumianej, widzimy jedną myśl wielką, nieskalaną, silną natchnieniem Bożem, w którym się poczęła. Kraj nasz, od najdawniejszych czasów, odkąd się uorganizował w chrześcijańską społeczność, stał się jedną wielką rodziną, której wszyscy członkowie łączyli się nierozzerwanymi węzłami krwi i braterstwa. Ten wyraz: *panie bracie*, nie czczem był tylko słowem u dawnej szlachty naszej: pod tém słowem utrzymał się symbol całego życia narodowego. I dlatego to są u nas rzeczy których cudzoziemcy nigdy nie mogli pojąć i dotąd nie rozumieją. Zdarzyło się, że jakiś uczoney niemiecki zapragnął przyswoić swojemu językowi opowiadania Soplicy. Ale pierwsze zaraz wyrazy: „Sługa i przyjaciel domu Radziwiłłowskiego,“ wydały mu się niezrozumiałe; długo myślał nad niemi, lecz żadnym sposobem nie mógł dojść prawdziwego ich znaczenia. Wziął więc wyraz *przyjaciel* za przenośnię, za dowód poufałości starego sługi, i w tym sensie rzecz wytłumaczył. A tymczasem, jak my to łatwo pojmujemy, inne było zupełnie znaczenie tych wyrazów. Były one rzeczywiste, w prostém znaczeniu brane, bo Soplica, jakkolwiek nazywał się sługą Radziwiłłowskim, był jednak w rzeczy przyjacielem księcia i mógł nim być, jako brat szlachcic. Ale jakimże sposobem cudzoziemcowi tego rodzaju stosunki mogły się w głowie pomieścić?

Teraz rozszerzyliśmy ogólniej tę nazwę braterstwa, a przynajmniej pragniemy ją rozszerzyć. Niechaj ta myśl prawdziwie chrześcijańska nie do szczegółowych już tylko wiąże się stanów; niechaj ona całe społeczeństwo ogarnie i połączy je jednym wspólnym węzłem miłości Bożej; niechaj w dniu tym świętecznym, kiedy przy dzieleniu się chlebem Bożym ręce się łączą, a dawne krzywdy zapominają, Opatrzność Najwyższego sprawi, żeby to serdeczne oczyszczenie się nie było czczem tylko słowem. A Zbawiciel, który narodził się dla odkupienia nas, przychyli dłoń swoją litosną ku tym, którzy czynem dowiodą, że postępują po drodze jaką On nam wskazał.

NIEDZIELA W MIEŚCIE.

Każde większe miasto europejskie ma swój sezon, to jest porę w której największym wre ruchem, najsilniejszym ożywieniem kipi.

Warszawa, właściwie mówiąc, nie ma swojego sezonu. Są wprawdzie pory, w których miasto więcej jest ożywione i ludniejsze, są miesiące w których życie uciekać zdaje się od nas; ale pochodzi to zwykle z przybytku lub ubytku napływowej ludności, właściwe zaś miasto pozostaje takim, jakim jest zwykle, w lecie, czy w zimie.

Nie chcemy bowiem liczyć do właściwej ludności Warszawy, tej przelotnej klasy mieszkańców, którą raz wabi Paryż, drugi raz Włochy, Szwajcarya lub morze, która nosi te same cechy charakterystyczne u nas, co w Londynie, Paryżu i Wiedniu, a może i chlubę ciągnie z tego, że tak zwaną *europejską oglądą* w niczem zgoła od cudzoziemskich salonów się nie różni. Tych zwykle gromadzi do miasta zima, a lato wygania. Dla nich, we właściwem znaczeniu tego wyrazu, niedziela nie istnieje.

— Alboż to ja szewc, żebym w niedzielę się bawił, mówi niejedyn z nich. Dla mnie każdy dzień jest świętem.

I słusznie. Dla szewca, jak dla każdego pracownego człowieka, niedziela ma wielkie znaczenie w tygodniu. Stanowi ona przerwę w pracy, odpoczynek po trudach, dzień w tchnienia, chwilę rozrywki, wynagrodzenie niejako za sześć dni nieprzerwanego zajęcia.

A proszę się nie gniewać za to porównanie. Szewca pracownego, tak jak każdego innego człowieka, który darmo czasu nie marnuje, mam w wielkim szacunku. Każdy z takich, jeżeli sumiennie dopełnia swoich powinności w szczupłym obrębie działania jaki mu Bóg przeznaczył, jest bardzo użytecznym członkiem człowieczeństwa, daleko użyteczniejszym od majątnych próżniaków, którzy przepędzają swój czas na bezczynności i ziewaniu. Tacy nie mają po czem odpoczywać, więc też i niedziela nie może mieć żadnego dla nich znaczenia.

Dzień ten uroczysty zwykle u nas rozpada się na dwie połowy.

Jedna z nich poświęcona chwale Bożej; pod tym bowiem względem Warszawa może służyć za wzór innym miastom. Świątynie u nas zawsze są pełne, a nawet często okazują się za szczupłe na tłum wiernych który się do nich zbiera. Nieraz w niedziele i dnie świąteczne lud modli się przede drzwiami kościołów, nie mogąc się we wnętrzu pomieścić. Bo dzieje narodu naszego uczą, że zawsze strzegł on i bronił chwały Bożej; niewzruszone też tkwi w nim przekonanie, że Opatrzność osobiwszą nad krajem naszym rozciąga opiekę. To przekonanie, ta wiara niezachwiana, są pociechą we wszelkich nieszczęściach, we wszelkiej niedoli. „Nie upadaj pod ciosami losu, mówi mędrzec chrześcijański, bo dla tych co krzyżowi czynili służbę i walczyli zań, najpiękniejszą nagrodą jest ten właśnie krzyż Pański do znoszenia.“

Druga połowa dnia niedzielnego poświęconą jest, jak już powiedzieliśmy, rozrywce, zabawom, wytchnieniu po pracy. Bo kto przez cały tydzień chwali Boga użytecznym czynem, temu godzi się dać sobie jeden dzień folgi, na wzór Stwórcy naszego.

Dlatego też, zwłaszcza w dzień pogodniejszy, w każdą niedzielę od rana do wieczora mrowie ludu roi się po ulicach, wszystkie miejsca przechadzek, wszystkie zabawy publiczne liczniej są niż zwykle uczęszczane i w ogóle całe miasto strojniej jakoś wygląda.

„Oto publiczność niedzielna,“ rzeknie ten i ów, przypatrując się temu ruchowi z wysokości próżniaczęj godności swojej. „Nie można wyruszyć kroku na miasto, żeby się z tą niedzielną publicznością nie spotkać.“

Zapewne, bo ta niedzielna publiczność, to jest całe miasto, to jest właściwa ludność warszawska, i kto chce dobre a sprawiedliwe o nas powziąć wyobrażenie, niechaj z niej sądzi, a nie z wyjątków. Wówczas nie powie on pewnie, jak to się zdarza przybyzom kilka dni u nas bawiącym i w dwóch albo trzech salonach przyjętym, że Warszawa jest najkosmopolityczniejszym grodem pod słońcem, że brak tu wszelkich cech odrębnych, któreby świadczyły o naszej indywidualności narodowej.

Już od samego rana w niedzielę ruch niezwykły. Chodniki czyszczone są staranniej aniżeli w dniu powszednie, co wszakże nie dowodzi jeszcze wielkiego porządku, bo dobrze wiadomy jest pod tym względem konserwatyzm naszych stróżów, którzy kurz i błoto, jako pamiątki archeologiczne, pragną każdy w swoim wydziale zachować.

Jeżeliś fizyognomista, to stań sobie w niedzielę około dziewiątej godziny z rana na chodniku jakiej uczęszczanej ulicy i przypatruj się tłumowi. Mężczyzn jeszcze łatwiej ci będzie poznać po zaroście, po kroju sukni, po wyrazie twarzy, wreszcie po chodzie i po mowie, który do jakiego stanu lub powołania należy. Ale ogłoszę cię za bardzo domyślnego, jeżeli tak samo potrafisz sobie dać radę z kobietami i rozpoznać wielką damę od urzędniczki, bankierową od rzemieślniczki, fabrykantkę od szwaczki. Na

nie wróci na porządek dzienny, jak to za dawnych dobrych czasów bywało.

Radziłyśmy także, kiedy już o dawnych czasach mówimy, żeby zaniechano otwierania sklepów przez cały dzień w niedziele i święta, jak to od kilku lat, wzorem miast francuzkich i niemieckich, weszło u nas w zwyczaj. Wszakże dość na tém, kiedy sklepy są otwarte do dziesiątej, jak to dawniej bywało i jak to zresztą przepisy nakazują. Handel z nabożeństwem nie idzie w parze, a wreszcie i dla ludzi sklepowych powinien być choć raz w tydzień odpoczynek, na który trudzącą pracą innych dni zarobili.

W porze letniej, kiedy pogoda służy, po nabożeństwie Saski ogród bywa ulubionym miejscem przechadzki. Już nie środkowa, ale boczna aleja staje się wtedy głównym punktem zebrania piękności i exhibicyi strojów. Emeryci, amatorowie wody zimnej

ży odgadnie kto jedzie. Dorożki pędzą zwykle do szwajcarskiej doliny, gdzie też po części i tłum pieszych zdąża. Powozowi, albo nie wysiadając objeżdżają kilkakrotnie aleje, spoglądając z wysokości sprężynowych poduszek swoich na tłum chodniki zalegający, albo też wysiadają czasem przed ogrodem botanicznym, żeby się tam przez półgodzinki ponudzić na ławce. Bo dla dam powozowych, dolina szwajcarska w niedziele i święta staje się wstrętnym miejscem; wówczas bowiem zalega ją publiczność niedzielna, a któżby się tam chciał mieszać z takim tłumem? Panowie, to co innego, nie są oni tak trudni; powiem nawet pocichu, że wołają oni niedzielną publiczność od innej, jest tam bowiem czemu się przypatrzeć, nie brak świeżych twarzątek i zgrabnych kibici.

Za to znowu Saska kępa odmienną już zupełnie



wszystkich też same krynoliny, też same materye, też same kapelusze najświeższych fasonów, w których nawet mody paryżkie zwykle przesadzane bywają, też sama prawie wykwinność we wszystkim. Jeżeliś świeżo do Warszawy przybył, a zechcesz ze strojów o ludziach sądzić, pomyślisz sobie że to miasto z samych bogaczy złożone. Wszystko przystrojone na urząd. Kobiety co się zazwyczaj zbyt kownie ubierają, w niedzielę pozostają takimi, jakimi są w dniu powszednie; te zaś dla których świąteczny dzień jest uroczystością, wydobywają to co mają najświeższego i najdroższego, żeby mieć się czem popisać na ulicy. Smutna ta wada, od kilku zwłaszcza lat u nas zakorzeniona, przestraszające przybiera już rozmiary. I wszelkie moralizowanie, wszelki opór płci brzydkiej na nic się nie zda, dopóki piękne nasze damy nie rozmyślą się, i skromność w ubraniu

i pacycenci szukający chłodu, a stanowiący codzienną ludność tej alei, muszą podówczas z żalem przeprowadzać się gdzieindziej, ustępując miejsca niedzielnej publiczności.

Ale rzeczywisty ruch świąteczny, prawdziwe zabawy niedzielne rozpoczynają się dopiero w godzinach popołudniowych. Wówczas to Warszawianie letnią porą rozbiegają się na wszystkie strony świata, szukając choć kawałka drzewa, cienia, ogródka.

Wytworniejsza część publiczności, ludzie wykwinniej ubrani, kobiety o modniejszych strojach, ciągną Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem ku alejom. Chodniki tak są zapełnione, że trudno się mijać, a ulicą ciągnie powóz za powozem. W tych powozach wiecznie jedne i też same ujrzyć twarze, i ekwipaże te tak dobrze znane są Warszawianom, że już zdaleka każdy z nich prawie po koniach i uprę-

zaludnia się publicznością. Niektórzy tam wyjeżdżają z różnemi zapasami, jest to bowiem już trochę podróż. O wykwinne stroje nie chodzi bardzo, bo zabawa używana tam jest ruchliwa, hałaśna i wesoła, mocno wesoła. Huśtawki, karuzele, strzelanie do celu, tańce i muzyka, (bo gdzież się u nas bez niej obejdzie) stanowią grunt tej zabawy. Ale muzyka nie gra tam żadnych symfonij i wyjątków z oper, tylko polkę, mazurka, walca. Czasem prosta katarynka zastępuje orkiestrę, a nie przeszkadza to wcale tańcom, owszem dodaje im nowego żywiołu wesołości.

Hej, hejsa wesoło, będą nowe zbytki!
Kto chce je zobaczyć, niech daje dwa dytki.

Wszystko bo tam kosztuje tanio i za kilka złotych można się nabawić do syta. A niema strachu o suknie żeby się zbrukały: płócienka się wypiorą, kapelusze zawiesi się na gałęzi i dobrze mu z tém, a świe-

żół twarzycze jeszcze lepiej we włosach trochę na wiatr rozwianych. I huśtawka idzie w górę, wysoko, wyżej jeszcze, bo popychają ją ręce, które się nigdy do pracy nie leniły, a teraz na usługi ukochanej piękności Bóg wie czego dokazałyby mogły. Więc choć wieczór nadejdzie, mało kto się spieszy, i zabawa do późna się przeciąga.

Toż samo mniej więcej, z małemi odmianami programatu, dzieje się na różnych przechadzkach zaokopowych, jak np. na Czystem i t. p.

A i w Warszawie nie brak także ogródków, a w każdym brzmi muzyka. Kto wieczorem w niedzielę przechodzi się po ulicach naszego miasta, ten ze zdziwieniem usłyszy z każdej prawie bramy wychodzącą jakąś symfonią, jakieś brzęki i gwar pomieszanych rozmów. To są ogródki bawarskie! Bo żeby stworzyć taki ogródek, potrzeba tylko kilku łokci

wrotu do domów. Z ostatnim wystrzałem, z błysnięciem ostatniej racy, ucicha muzyka, przygasza iluminacja, opróżniają się miejsca, a w ogródkach zostają się już chyba tacy, którzy sztukę dla sztuki, to jest piwo dla piwa lubią. I będą oni do północy i za ten termin nawet wysączać kufelki, dopóki przymus policyjny nie znagli ich do powrócenia niepewnym krokiem na łono rodzin swoich.

W zimie też same zabawy, tylko na inny powtórzone sposób. Przechadzek już niema, sale zastąpiły miejsce ogródków, ale muzyka pozostała. Publiczność co w lecie zapełniała aleje różnobarwnym tłumem swoim, gromadzi się w zimie do sal obu teatrów, które już niezachwianie rachując na ten napływ, nigdy w niedzielę ani w święto z nową nie wystąpią sztuką. Prawda że tę nowość i w dzień powszedni rzadko nam się zdarzy oglądać. Ale pocziwa publiczność,

czas głowę i wzniesć oczy ku niebu. bo widzisz przed sobą to, co pozostało nam najlepszemu po przodkach: prostotę serca i ufność w Bogu!

Wacław Szymanowski.

NIEDZIELA NA WSI.

„Więc gdym kresu już dogonił,
W cichój, miłej mej ustroni,
To dzwon, co na chrzest mój dzwonił,
I na pogrzeb mój zadzwonił.“

(Stefan Witwicki).

Po wyciętym lesie, pod kępiną kilku sosen i żalobnych świerków, stoi karczemka stara, nachylona łaty, podpierana starannie, aby nie runęła. Pamięta



kwadratowych byle jakiego podwórka; o drzewa mniejsza, skoro jest nazwa ogródka, są ławki, stoliki, sztachetki i bufet, to już się bez drzew obejdzie. Każda z takich bawaryj ma ugodzoną swoją muzykę i jakieś specjalne widowisko, którym podnieca ciekawość publiczności. Tutaj mimik odgrywający po niemiecku jakieś sceny, których nikt nie rozumie; tam menażerya składająca się z kreta, gęsi i dwóch świeżo złapanych szczurów; tam znowu jakieś widowiska optyczne, akrobatyczne, balony, Bóg wie nie co. A wszędzie iluminacja i niemal wszędzie sztuczne ognie. Jak to wszystko pomiędzy godziną 10tą a 11tą wieczorem zacznie po kolei pukać, pękać, syczyć i wyskakiwać w górę różnemi racami, szmermelami, bukietami i kołami brylantowemi, to zdawałoby się że Warszawa lada chwila wyleci już w powietrze. A jest to rzeczywiście hasłem ukończenia zabaw i po-

ponieważ umyśliła koniecznie się bawić, ponieważ to jój niezaprzeczone prawo świąteczne, śmieje się do rozpuku z conceptów już po sto razy słyszanych. Niedziela to dobry dzień, w niedzielę każdy artysta dobrze gra, każda sztuka jest zabawną. I tém bardziej można to uważać za zasadę, iż ci którzy przyprowadzają zwykle ze sobą do teatru fizyognomie znudzone i tęskniące za włoską operą i francuzkim językiem na scenicznych deskach, wystrzegają się bywać w niedzielę, żeby się nie mięszać z tłumem. Zawsze też sama troskliwość!

Ale i latem i zimą w niedziele wieczorami, z większą niż w inne dni uroczystością, odbywają się śpiewy pod figurami. Na przechodzących, pośród ogólnego gwaru świątecznego, dziwne sprawia wrażenie ta poważna a rzewna nuta pieśni pobożnych, przez setne powtarzanych głosy. Przechodniul odkryj wów-

ona owe czasy, kiedy na tém pustém dziś polu, stanęła przy rozstajnych drogach, w gęstym i obszer-nym borze.

Dziedzic, trzymając się dawnego a ulubionego przysłowia swego ekonomy, że: „Był las bez nas, będzie las i po nas,“ częściami, włóka po włóce, sprzedawał go handlarzom brodatym, na wycięcie w pień, i po kilku latach i pan i ekonom z przestrachem ujrzeli jak to przysłowie nieprawdziwe, bo nagle się zamieniło na inne: „Był las bez nas, a zginął przy nas.“ Przy karczmie zostało tylko kilka drzew, jako pamiątka dawniejszego lasu, które żalobnym szumem skarżą się na swoje osamotnienie.

Żydek arendarz, już wnuk Abrahama rudego, co w nowej owój karczmie piérwszy osiadł, a żywił i poił i kmieci ze wsi pobliskich, i traczy, i drwali co obra-biali powalone siekierą sosny, dęby i świerki, — wnuk,

także Abraham, stale dotrwał w ojczystym gnieździe, chociaż się cała okolica w około niego zmieniła.

Z wielkiego boru, co okalał karczmę, puste odsłoniło się pole, z wydmami piaszczystymi; w sąsiednich dworach jedni panowie wymarli, drudzy poginęli, inni z gniazda przodków wypędzeni przez wierzycieli, pokutują po cudzych kątach za zbytek i rozrzutność. Abraham wszystkich przetrwał, i las, i panów, w pochylonej karczemce, i jak dawniej tak teraz, z faszją gorzałki, tym talizmanem co go bogaci i utrzymuje, wychodzi przed drzwi gospody, dogrona kmieci i grajka, rozbudzać większą ochotę. Widzimy jęj skutki w obrazku z podpisem: „powrót do domu.“

Gdy podchmielony parobczak wywija z dziewczoją przed karczmą, pobożny kmiołek z żoną i dwojgiem dziatwy stanął przed pochyloną figurą na wzgórku wzniesioną i złożył ręce, zatopiony w serdecznej modlitwie. Żona jego ukłękła, naginając niedorośle pacholę, aby padło na kolana, gdy drobniejsze zasiadło na murawie.

Odpowiednio tej pięknej stronie ludu naszego, odznaczającego się pobożnością, widzimy tłum kmieci i wieśniaczków zebrany na kazaniu rano, na niesporze w przedwieczór w poważnej processyi. I znów wracamy do wnętrza owęj karczemki, gdzie za stołem zasiadli starsi gospodarze, młodzież gwarzy i czeka grajka wiejskiego.

Otóż i cały żywot wieśniaka polskiego artysta wjedne ramy ujął. Kościół i modlitwa, karczma i ochota niezawsze trzeźwa, to niedziela na wsi; a tydzień cały: praca mozolna na roli, czy w opłotkach gospodarskich.

Artysta w ramach obrazu przedstawił najpoetyczniejszą stronę ludową: z jednej strony swobodnego parobczaka, jak na fujarce wygrywa, z drugiej młodą dziewczoję wiejską, jakby *Wiochnę* Lenartowicza, siedzącą, zamysłoną, a w zadumie swojej nieuważającą, że koszyk pełen kwiatów polnych, który trzyma na kolanach, przechylił się i kwiecie rozsypuje się pod jęj nogi. Czy to odgłos tęsknej nót owego parobczaka? czy też myśl jęj w inne ulata strony? Zda się jakby artysta uchwycił tę chwilę, w której wiochna spowiada się ze swęj tęsknoty:

„Z za mgły słońce powstało,
Wronka kracze na roli,
Nie wiem co mi się stało,
Coś mnie smuci, coś boli.
To chce mi się zapłakać,
To mnie pusta myśl lechce;
Weselić się i płakać
I chciałabym, i nie chcę...“

Cała postać tej dziewczoi uroczą, przypomina nam obrazki J. K. Gregorowicza, w których autor z taką prawdą, z taką miłością narysował nam wizerunki młodych dziewczeczek wiejskich.

Zaprawdę, dnie młodości, jak dla nas taki dla młodego pokolenia ludu, są ową chwilą pełną zapału i natchnienia poetyckiego, w której nieznani, nierozszczęcy sobie prawa do rozgłosu, improwizują pieśni, podszeptywane uczuciem serca, zachwytem wyobraźni, albo skupieniem myśli, co wstrząsa ich duszą. Zarówno niemal grono tych improwizatorów liczy krasne dziewczoje, jak dziarskich parobczaków, co bogacą wielką księgę pieśni ludowych, niepisaną, ale w żywym przechowaną słowie. W dali od miast naszych trzeba ich szukać; wieś więc od nich oddalona, położona w niwach czy lasach samotniejszych, przechowuje zawsze i zwyczaj dawne starannie, i więcej znajdziesz w nich pieśni i dum, niesłychanych gdzieindziej. Atmosfera miast naszych, zacięra charakter włóścian polskich, dławi natchnienie pełne prostoty, i w miejsce serdecznej piosenki albo dawnęj dumy, słyszysz pieśń hulaszczą, pijaną, a zwykle rozpustną.

Jeden tylko Kraków ma ten przywilej, że nie tłum w całej swęj okolicy ani zwyczajów dawnych, ani swobody serca i myśli, ani natchnienia poetyckiego w młodem plemienu wioskowych siedzib. Czy ta wielka liczba kościołów, co Włochom w XVI wieku nastreczyła przypowieść, że „gdyby Rzymu nie było, Kraków byłby drugim Rzymem,“ czy te pamiątki święte i historyczne, przywiązane do każdej świątyni, do każdej niemal kamienicy, tworzą owę czystsą atmosferę, która kał i brudy miejskie pochłania, a dźwiękiem dzwonu Zygmuntońskiego posyła na wsie okoliczne hasło modlitwy, czystość obyczajów i poważnej zadumy? Nie wiem, ale to jest prawdą, że lud w najbliższych nawet Krakowa wioskach, zachowa

wał swój charakter nieskażony, obyczaj i zwyczaj dawny, nie zatracił potęgi improwizacyjnej, i jak niegdys, tak i dziś bogaci zbiór *Krakowiaków* swoich, w których zarówno piękności natury, jak uczucie swoje przeplata wspomnieniami starego grodu Krakusa.

K. Wł. W.

HRABIANKA DYNIA,

O B R A Z E K.

Skreślił

Teod. Tom. Jez.

(Dalszy ciąg.)

Dynia w porannym była negliżu, a raczej stroju. Miała na sobie biały z gęstego muslinu szlafroczek, związany od niechcenia w pasie złożonym w kilkoro, jedwabnym, także białym sznurkiem. Warkocze miała już uplecione. Przykrywał je ryżowy pasterski kapelus, ocieniający jęj zdrową, hożą twarz i szczególnie jakimś urokiem owiewający jęj usta i uśmiechowe dołki na policzkach. W tym stroju, chociaż, jak wiemy, nie liczyła się hrabianka do pierwszorzędnych piękności, była jednakże prześliczną. Bo (niech to będzie kawiasem powiedziane), na to aby być prześliczną, niekoniecznie potrzebuje kobięta być piękną. Znałem nieładne, a prześliczne. Jak to się dzieje?... Czytelniczki! wy o tém lepiej odemnie wiecie.

Dynia stała na brzegu rowu, i mówiła:

— Dotrzymałeś pan słowa... To bardzo dobrze... To mnie bardzo cieszy.... Spodziewałam się że pan słowa dotrzyma, a nawet... a nawet... zdawało mi się że pana dziś zobaczę...

Parfeni nie wiedział co odpowiedzieć; więc kłaniał się i rzekł:

— Pani dobrodziejko...

— Ale chodźże pan na ogród... podchwyciła Dynia. Tak przez rów rozmawiać nie możemy...

Parfeni puścił się wzdłuż rowu, szukając przejścia.

— Pani!... zabrzmiał za nim głos.

Parfeni zatrzymał się.

— Tędy! wprost!.. Wejście do ogrodu aż z dziedzińca, a to daleko... Trzeba okrążyć..

Usłyszeć to i rów przesadzić, było dla bohatera naszego dziełem jednego oka mgnienia.

Bohater tedy nasz i bohaterka znaleźli się razem, mając przed sobą dwie z górą godziny czasu: była bowiem dopiero ósma, a pałacowi mieszkańcy zaledwie około dziewiętej wstawali. Jak oni jedno obok drugiego wyglądali, nad tém, znając ich oboje dostatecznie, zastanawiać się nie będziemy; zajmujemy się raczej tém, jak oni czasu użyli.

— Wię pan, mówiła Dynia, zem się pana dziś spodziewała. Kiedyżes pan przyjechał?

— Wczoraj, pani dobrodziejko...

— Czemużes wczoraj nie przyszedł do mnie?... tonem wymówki powiedziała hrabianka. To nie dobrze... Tak się nie godzi...

Parfeni nic nie odpowiadał.

— A wczoraj... dziwna rzecz!.. ciągnęła, miałam przywidzenie... Zdawało mi się, zem pana widziałam za wsią, na drodze...

— Pani dobrodziejka mnie poznała?... zapytał Parfeni.

— Więc to pan byleś?... Więc pan przyszedłes?...

Parfeni spuścił oczy i milczał. Hrabianka ogłądała go od stóp do głowy, jakby z powierzchowności chcąc zbadać wartość człowieka podróżującego piechotą.

— To dziwna jednakże, mówiła dalej, zem się pana spodziewała.

— To dziwna... myślał Parfeni, ale milczał.

Tu nastąpiła dość długa chwila milczenia, w ciągu której bohater nasz sposepniał.

Dynia, obserwująca go pilnie, widziała sposepnienie i zapytała:

— Co panu jest?

— Nie wiem, pani dobrodziejko...

— Nie nazywaj mnie pan dobrodziejka... podchwyciła hrabianka. To trywialne... Nazywaj mnie: pani, albo: panna Dynia.

— Dynia?!... zawołał Parfeni zdziwiony i spojrział na hrabiankę, która, jakby dla złagodzenia przestrogi, uśmiechnęła się najśliczniejszym ze swoich uśmiechów i rzekła:

— Pan będziesz księdzem?...

— Będę, pani... odparł Parfeni.

— To szkoda... odrzekła Dynia.

To „to szkoda“ stało się niby uderzeniem Mojżeszowej laski o kamień. Jak z pod laski owęj z kamienia woda, tak z pod tego „szkoda“ z Parfeniego wymowa trysnęła. Ugiął się zrazu pod nięm, lecz to ugięcie zaledwie jedno mgnienie żrenicy trwało. Natychmiast się wyprostował, bo uczuł na sobie ciężar tego, czego jego dusza znieść nie mogła: ciężar litości.

— Nie pani, rzekł, nie szkoda!... Ja mogę być księdzem-człowiekiem...

Hrabianka wpatrzyła się w niego szeroko otwartemi, zdziwionemi oczami, a on prawil dalej.

I rozwinął przed nią cudny, rozumny obraz powołania człowieka na ziemi, człowieka najpiękniej i najświęciej pojętego. Postawił go wśród ludzkości, jak brata wśród licznęj rodziny, jak dziecko Boga, jak piastuna-właściciela Bożęj myśli. Otoczył go promieniami poświęcenia dla ludzi-braci, strzelającemi wprost z niego naokoło. Gdy to mówił, Dyni się zdawało, że Parfeniego opromieniała jakaś aureola. Postawił on potem człowieka samego w zapasach z całą ludzkością, człowieka żywiącego przekonanie, które mu chcą wydrzeć. On je broni sam przeciwko wszystkim, na stosie ginie i... zwycięża.

Mówił dość długo, a zawsze o człowieku. Ani wymienił wyrazu „ksiądz.“ Przy końcu dopiero, w rodzaju konkluzyi, rzekł:

— Widzi pani... Nie szkoda mnie...

To co on mówił, Dynia pierwszy raz w życiu słyszała. Pod dźwiękiem wyrazów jego, czuła się ona jakoś inaczej, jakoś lepiej jak kiedykolwiek dotychczas. Jakowaś próżnia w nięj zaczęła się niby wypełniać. Może to owa iskierka, o której gdzieś w ciągu niniejszęj powieści wspomniałem, poczęła się w płomień roztlęwać... A wydało się jęj że ten co mówi, jest dla nięj koniecznie potrzebnym, aby był przy nięj, aby jęj ciągle mówił, a jeżeliby mówić przestał, nie chciał lub nie mógł, aby ona myśli jego w jego oczach czytać mogła.

Spojrzała Parfeniemu w oczy, i nie w nich, ale gdzieś po za niemi, aż w duszy, wyczytała potwierdzenie tego co on mówił. Piękna młodzieńca dusza, męzka, poetyczna a rozumna, jawiła się przed nią w jego postaci.

I znów nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał lokaj, proszący hrabiankę na śniadanie.

— Chodź pan.... rzekła Dynia. Jesteś moim gościem....

I poprowadziła gością swego do pałacu.

IX.

Jakże w oczach bohaterki naszęj od razu skarleli baron Alfred i porucznik graf Fryderyk Weissenberg! Bo nie skończyło się na tej jednęj, którą w poprzednim rozdziale przytoczyłem, rozmowie.

Parfeni pozostał na dłużej, na tydzień cały, a pozostał skutkiem fortelu, jakiego użyła hrabianka. Oświadczył on pierwszego zaraz dnia, że ma do hrabiego interes, po załatwieniu którego wraca natychmiast do Hnilek.

— Papa chory od potłuczenia pod Nadwórną... powiedziała hrabianka. Interesów żadnych załatwiać nie może... Trzeba czekać, aż podzdrowieje....

A złagodząc głos do akcentu prośby, dodała:

— Czy to panu już przykrzy się... ze mną?...

— O! nie, pani... spłoniwszy się, odpowiedział Parfeni. Ale na mnie czeka matka...

— Matka panem cieszyła się już tyle... podchwyciła Dynia. Niechże... niechże...

I ona, wielka pani, odważna aż do kokieteryi i dwuznaczników, nie śmiała wypowiedzieć synowi biędnęgo wieśniaka, od którego wyżsi towarzyskięm położeniem służyli jęj lokaje:

— Niechże i ja tobą się nacieszę....

Parfeni został, oczekując na podzdrowienie hrabiego. Ten, jak wiemy, udawał chorego.

Przez ten czas rozmowy pomiędzy bohaterem i bohaterką naszymi mnożyły się. Parfeni wprowadzał Dynię w świat coraz nowy i coraz piękniejszy. Uścięlał przed nią drogę najczystszyimi kwiatami poezyi narodowęj, która jęj ducha uszlachetniała i wzmacniała, jakby go orlemi loty do góry podnosiła. Dobro i piękno, ona je dopiero z ust Parfeniego poznała, kiedy on jęj o nich opowiedział, kiedy ukazał jęj źródła z których one płyną.

— Czemuż to wszystko dotychczas przedemną tałono?... mówiła sobie, gdy samotna w swoim budoa

rze rozmyślała nad rozmowami z Parfenim. Przecież ci ludzie musieli o tém wiedzieć!.. Niepodobna aby nie wiedzieli!..

Pod wyrażeniem „ci ludzie,“ rozumiała ona całą tę sferę towarzyską, w której się urodziła, wyrosła i wychowała. Jakiś żal do niej powstał w jęj piersi. Ciekawą była wiedzieć coś o tój, w której się urodził, wyrósł i wychował Parfeni. Więc go rozpytywała, a on jęj opowiadał: o szkolnym towarzystwie ubogiej młodzieży, o Pokuciu, o swojej wsi, o swoich rodzicach. Kiedy mówił o ojcu, serce Dyni wypełniało się jakimś rodzajem czci głębokiej, aż do uwielbienia posuniętej, a kiedy zakończył opowiadanie śmiercią Jakuba, hrabianka zalała się łzami. Zapłakała i Parfeni.

I zmieniła się hrabianka Dynia. Stała się czułą i tkliwą. Poczula w sobie serce kobiety i obywatelki. Zmieniły się nawet jęj gusta. Przez cały czas pobytu Parfeniego, ani razu konno nie jeździła; a Welesley i Fanny, któremi się przedtém zachwycala, wydały się jęj nie czém inném, jeno zwierzętami o czterech nogach, przeznaczonemi do przenoszenia ludzi z miejsca na miejsce; a baron i graf wydali się jęj zwierzętami o dwóch nogach. Parfeni stał się dla niej wyższym o całe niebo od wszystkich których dotychczas znała, wyższym od niej samęj.

Z razu myślała:

— On zostanie księdzem... Sprowadzę go tutaj i zrobię swoim spowiednikiem. Będę zawsze przy nim, i rady jego dodadzą mi siły do wytrwania w dobrem.

Gdy jednakże kilka razy to sobie powtórzyła, i mogło się już wydawać, że oswoiła się z tą myślą, raptem przyszło jęj zapytanie:

— Na cóż się mam rozdawać? duszą do niego, ciałem do jakiegoś dwunożnego zwierzęcia należeć?..

I zabrzmiała w jęj sumieniu odpowiedź:

— Nie, jęgo będę, albo niczyją!.. On chce być człowiekiem i księdzem... Przecież może być człowiekiem, nie będąc księdzem... Ja mu dam pozycyą, której w jęgo sferze niéma; on mi da zacność, której w mojej sferze niéma... i zrównoważymy się, i stanemy się owym łącznikiem, przez który z jednej do drugiej sfery przechodzić będzie to, czego w której niéma... Poznajomimy jednę z drugą, zbliżymy je, stanemy się tu i tam przykładem widniejszym i bardziej wpływowym, jak w jednej wiosce dla małego kółka...

Widzi więc z tego czytelnik, jak szybko i jak daleko bohaterka nasza zaszła.

Ha!.. Pokochała, tego już niéma co w bawelnę obwijać.

Dynia pokochała w Parfenim człowieka moralnego, pokochała w nim to, co jest lepszym, czystszy, świętszym w człowieku, a pokochała dlatego, że on sam, piérwszy, jęj to odkrył. Strona jego fizyczna, powierzchowna, zrobiła wrażenie na niej, ale wrażenie to byłoby się zatarło, gdyby strona moralna nie przedarła się do umysłu, a z umysłu do serca, i nie postawiła przed nią Parfeniego, jako najdoskonalszego z ludzi. On gdyby i okazał jakie słabości, ułomności i śmieszności powszednie, to ona jużby ich nie dostrzegła, a nietylko nie dostrzegła, aleby w nich piękną jakąś lub dobrą stronę upatrzyła.

Ona kochała.

A on?

On sam nie wiedział, nie wiedział, gdy już Dynia o sobie doskonale wiedziała. Mężczyzna, w takim zejściu się jak Parfeniego z Dynią, zawsze flegmatyczniej naprzód postępuje. Nim się on opatrzy, nim się namysli, nim przed sobą zda sprawę, to tamta już to wszystko załatwiła. Co innego, jeżeli zachodzi tak zwane *staranie się*, to jest jeżeli w widokach dobrego (wyraz techniczny) ożenienia, nawołuje się miłość, jak psa gończego na trop. W takich razach mężczyzna idzie prędzej.

Ale nasz Parfeni nie starał się, o staraniu ani myślał; przeto, gdy Dynia już wyrobiła swoje postanowienie, on wyobrażał sobie dopióro: siebie, jako pewien rodzaj Petrarcki, ją, jako pewien rodzaj Laury. „Pewien rodzaj,“ powtarzam, dlatego, że przed sobą samym nie przyznawał się nawet jeszcze do miłości. W ciszy własnego sumienia nie powiedział jeszcze „kocham.“ Czuł tylko, że go opanowała jakaś siła czysto-moralna, która mu pierś czémś dziwnie-niezwykłym napełniła. Ale to „coś,“ miało być miłością?... Na to sobie jeszcze dokładniej i kategorycznie nie odpowiedział. Miłość parła się mu w pierś gwałtem i wparła. On

jęj nie nazwał, ale jęj przystępu nie bronił. Oto jakim było jęgo moralne, wewnętrzne usposobienie.

Wyznanie kochania wydierało się mu niekiedy mimowolnie. Raz opowiadał hrabiance o Mickiewiczu i przytaczał jęj wyjątki, które umiał na pamięć. Wypadło mu wydeklamować:

— „Nie wiész, jaki żar tu płoniel!“ etc.

Stanął przed nią i wydeklamował, a z takim zapalem i przejęciem się, że widoczném było, iż do siebie stosował słowa poety. Był silnie, na wskróś wzruszonym. I hrabianka była wzruszoną.

Lecz on tak długo deklamował, rozmawiał i był przy hrabiance pewnym apostoła rodzajem, nie mógł. Na niego oczekiwała matka. On o tém ani na chwilę nie zapomniał i co wieczniem dopytywał się o stan zdrowia hrabiego. Codziennie Dynia odkładała do jutra.

— Jutro... mówiła, na jutro lekarz obiecuje polepszenie... Poczekajże pan jeszcze jeden dzień, jeden tylko dzień...

Parfeni miał ważną jednę przyczynę jaknajrychlejszego załatwienia interesu. O przyczynie tęj hrabianka nie wiedziała. Zależała ona na tém, że konkurenci Dyni już się spostrzegli że Parfeni drogę im zastąpił, a Parfeni ze swojej strony spostrzegł się na tém, że się oni spostrzegli.

Konkurentów było obecnie dwóch, znany nam baron Alfred i nieznaną graf Weissenberg. Co się z innymi, z Adasiem i hr. Ryszardem stało, pozwólcie że przemilczę, a zajmę się nieznanym.

Graph Weissenberg, z nazwiska i rodu Niemiec, był porucznikiem od ułanów, miał niespełna dwadzieścia lat i starał się bardzo wyraźnie o hrabiankę. Chłopak młody i wysoko w arystokratycznej austriackiego państwa sferze postawiony, był on bardzo pożądanym konkurentem; należał bowiem do tych szczęśliwych istot, którym wszystkiego może zbraknąć, tylko nie kredytu. Kredyt zaczyna się dla nich od pieluch i towarzyszy im do grobu. Mają majątek, czy nie, to wszystko jedno. Im nie na majątek, ale na imię patrzają, bo imię ich znaczy: generalstwo, gubernatorstwo, ministerstwo, arcybiskupstwo lub ambasadę, a to wszystko wcale niezłą ewikycją stanowi. Oni mają przywilej lampartowania się w młodym wieku i robienia głupstw, czego nikt im za złe niebierze. Przeciwnie, obsypują ich oklaskami i tylko wypatrują sposobności skorzystania z nich. Do głupstw młodego ich wieku należy zwykle ożenie, na które najłatwiej ich złapać.

Młody graf był godnym swego imienia. Skrupulatnie trzymał się ścieżki wytkniętej przez przodków, która mu z tradycyi lepiej była znaną, jak świetne ich czyny. Jakoś tak się zdarzyło, że nie miał on majątku, ale był Weissenbergiem, miał dwadzieścia lat, służył w ułanach, znajdował się więc w epoce życia i warunkach lampartery i głupstw. Zaciągał długi na karb generalskiej przyszłości, a zaciągając je i trwoniąc, przyszedł mu kaprys żenić się, dlatego jedynie, że mu się podobała myśl wziąć za żonę posag, przejąć go i przepić. Z myślą tą graf się nie taił. Otwarcie z nią przed hr. Wierzgalskim, przed hrabianką, przed każdym z osobna i wszystkimi razem wynurzał się i wyplatał przed nimi koszałki-opałki, to niby dowcipne, to nby mądre, a zawsze wielko-pańskie. Hrabia nie posiadał się z admiracyi, i myślał sobie:

— O! byle tylko wziął Dynię... Niech przeję i przepije posag, niestracony to kapitał... Powróci on z procentami pod postacią jakiegoś nadania, a przytém dostojęstwa, inhałberstwa...

I poczęły śnić się hrabiemu: Wiedeń, dwór, pokoje na Burgu, salony generałowej Weissenberg, i t. d. i t. d.

I rozmiłował się w snach swoich, i dlatego tak wytrwale udawał chorego, aby Dynię z grafem w jaknajdłuższym i jaknajmniejszej na przeszkody wystawioném zostawić sam na sam.

Graph miał zamiar urzeczywistnić swój kaprys nie żartem, a hrabianka podzielała widoki ojca póty, póki nie zjawił się Parfeni.

Graph miał rywala w osobie barona. Ten nie był na pozór straszny; ale pod tym niestrasznym pozorem ukrywała się gotowość na wszystko, mająca na celu niedopuszczyć, aby Dynia komu innemu, nie jemu się dostała. Gotowość ta opierała się nie na miłości dla Dyni (to się rozumie), ale na czémś jeszcze silniejszym, bo na miłości własnej, połączonej z rozpaczą. Baronowi z bilansu pomiędzy plusami i minusami jęgo majątku wypadło ogromne minus. Groziła mu więc ruina na majątku, na reputacyi, na wszy-

stkiem, ruina doszczętna a piorunna, która go miała zwalić od razu. Chodziło mu przeto o ratunek, a chodziło tak, jak tonącemu, który gotów czegokolwiek, nawet brzytwy się chwycić.

Jakie na baronie zrobił graf wrażenie, tego opisywać nie potrzebuje. Patrzył na niego jak na intruza, jak na wdiercę we własne prawa i widział wyraźnie, że ma on za sobą takie szanse, jakich on (baron) niéma. Gdyby baron, tak jak o nim fama chodziła, był istotnie dobrym ekonomistą, to jużby był poznał, że kapitał jęgo starań bezpowrotnie stracony, i cofnąłby się. Ale nasz ekonomista miał jeszcze nadzieję; wyobraził sobie że potrafi, jeżeli nie odsadzić, to odstąpić, jeżeli nie odstąpić, to znużyć, jeżeli nie znużyć, to przeczekać grafa: trzymał się więc do ostatka i manewrował. Manewra jęgo zależały na tém, aby pomiędzy Dynią a grafem być zawsze trzecim, i przez to utrzymać harbuz w zawieszeniu. To tylko jedno naszemu ekonomistcie pozostawało, niemógł on bowiem, jak się wyrażał, *brusquer l'affaire*, to jest, jakimś stanowczym w obec hrabiego albo hrabianki krokiem ściągnąć na siebie stanowczą odmowę. Więc kwaśną swoją figurę stawał zawsze bądź obok ułana, bądź obok hrabianki, przeszkadzał im przyjść do porozumienia się i trzymał harbuz w zawieszeniu. Dynia to widziała i doskonale rozumiała; i ułożyła sobie była całą scenę piérwszego wyznania sprowadzić w obecności barona, z góry ciesząc się komiczno-tragicznością zachowania się ostatniego, podczas tego romansowo-spekulacyjnego aktu.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

DUET STAROPOLSKI W KAPELI SPOŁECZNEJ.

I. *Te dwie rzeczy nie cierpią towarzystwa:*

1. Kochanie. 2. Szanowanie.

II. *Dwoje osobliwe zwycięztwa:*

1. Zwyciężyć dobroczynnego. 2. I siebie samego.

III. *To dwoje na pamięci mieć, rzecz przyzwoita i potrzebna:*

1. Zlecenie przyjacielskie. 2. Dobrodziejstwo doznane.

IV. *Tęgo dwojga zgadnąć nie podobna:*

1. Śladu orła latającego. 2. Ścieżki młokosa do dziewcząt biegającego.

V. *Te dwoje nielatwo ukryć się może:*

1. Szydło w worze. 2. Kaszel na bankiecie.

TERCET STAROPOLSKI W KAPELI SPOŁECZNEJ.

I. *Trzy rzeczy są osobliwe i chwały godne:*

1. Pokora. 2. Ludzkość. 3. Datek uczyniony bliźniemu bez wymówki.

II. *Trzy rzeczy ozdobne są w oczach boskich i ludzkich:*

1. Zgoda między bracią. 2. Przyjaźń między sąsiadami. 3. Mąż i żona w zgodzie, w wierze i miłości małżeńskiej wzajemnie trwający.

III. *Trzem tym rzeczom być posłusznym jest rzecz pożyteczna:*

1. Prawdzie od Pana Boga pochodzącej. 2. Radzącemu co dobrego. 3. Kogutowi, pianiem z rana śpiących do roboty budzącemu.

IV. *To troje nadaremno i niepotrzebnie się czyni:*

1. Gdy kto sitem czerpie wodę. 2. Gdy kto goni ptastwo latające. 3. Gdy od panny niewzajemnej, zapragnie miłości.

V. *To troje wcale jest śmiechu godne:*

1. Gadać do swego obrazu. 2. Pojedynkować się z cieniem. 3. Dysputować z głupcem.

VI. *Trzy rzeczy śmierci się równają:*

1. Czekać, a niedoczekać się. 2. Służyć bez nagrody. 3. W nocy w łóżku leżeć, a nie spać.

VII. *Trzech rzeczy każdy człowiek ma sobie życzyć:*

1. Zdrowia. 2. Dobrej sławy. 3. Mienia dobrego, bez ukrzywdzenia bliźniego.

VIII. *Trzy rzeczy są światu obmierzłe:*

1. Gdy kto w honor i mieszek ubogi, a pyszny. 2. Bogaty, gdy łakomy, a nieużyty. 3. Stary, a zalotny do niewiast.

IX. *Trzy rzeczy gości z domu wyganiają:*

1. Gdy komu za szyję kapie. 2. Dym gdy w oczy kąsa i dusi. 3. Zła i swarliwa żona.

X. *Trzy rzeczy z niesmakiem się używają:*

1. Zabawy bez muzyki. 2. Taniec bez panien. 3. Wóz bez smarowidła.

WIEK PRZESZŁY I WIEK TERAŹNIEJSZY.



WIEK PRZESZŁY.

Hm—pistolety do olster, do pasa,
Szabla Staszówka... Coś dawniej niż Sasa
Pamięta ona. Dziwir na brzeszczocie,
Rękojesć zdobna, a wryte w złocie:
„Nie dobywaj mnie bez racyje!“ Słówka
Jędrne; Stephanus Rex — to Stefa-
[nówka.]

Jéjmość snadź nieraz, za dziarskiém uję-
[ciem,
Referendarskiém lub Rejowskiém ciągiem,
Młyncem, pół-młyncem, czy sztuką krzy-
żową.
Przy dobrej racji zwiąjałaś się zdrowo.
(W. Wolski „We dworku“.)



WIEK TERAŹNIEJSZY.

Patrz, to mi karty!.. Co chcesz, dwójkę, asa,
Myk... i już wyszło... Te karty, to kassa
Moja... nie sprzedał jabym ich za krocie.
Osobny system, wart wyręcia w złocie.
Głupstwo bałamut, głupstwo lis.. Pół-
[główka]

To tylko sprawy... Oto samolówka
Prawdziwa... Ja dziś graczów jestem księ-
[ciem;
Patrz, zmieniam kartę za każdym ujęciem.
Spójrz: wolta, wolta, i znów wolta... nową
Manjera... Jak to obmyślane zdrowo!



WIEK PRZESZŁY.

Oj, nielada to mężel!
Rąbią sztuką krzyżową,
Karabele jak węże
Migotają nad głową.

Równa siła i lata,
Jak dwa dęby chłopiska;
Damascenką ten płata,
Augustówką ów błyska.
Tego mina siarczysta,
Po czuprynie znać zucha;
Jak cię płatnie od ucha,
Nim powstaniesz, zjiesz trzysta!
Tego postać znów dziarska,
A muszkuły ze stali,
Przez łeb wali z tatarska.
A pal go szesć, jak wali!
Nie powstrzymać w zapędzie,
Krew popłynie, nie woda...
Co to będzie — co będzie?
Szkoda chłopców, oj szkoda!



WIEK TERAŹNIEJSZY.

— Piątka, szóstka, as, dama,
Dwóch waletów, patrz, pluje!
— Zawsze szansa taż sama;
Pal cię lichu, bank bije!
— Zwolna.—Cóż to, zajączek?

Tchórzysz? Schłodnij w za-
[pale,

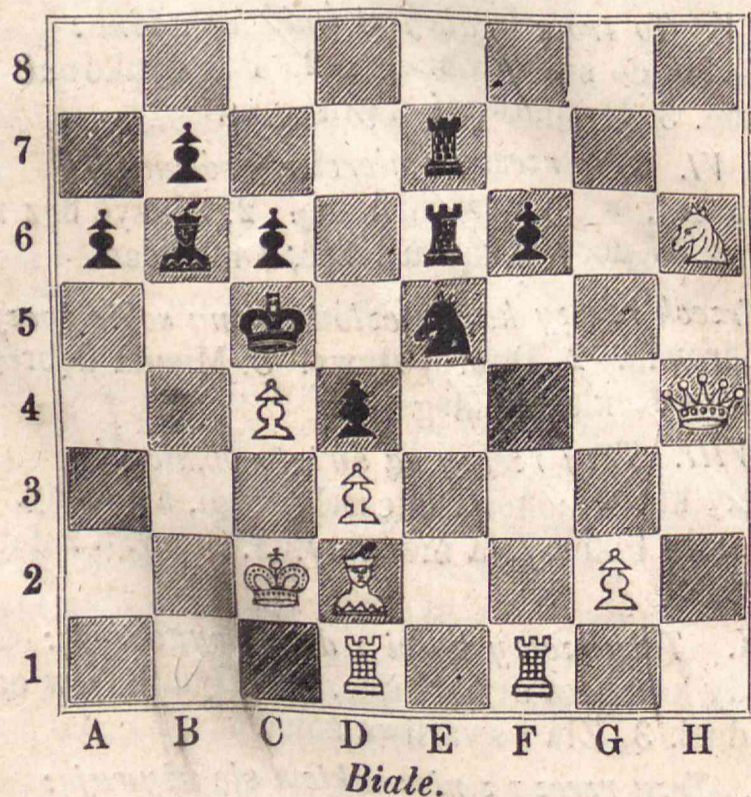
Znów przewalisz tysiączek.
— Mniejsza o to, przewalę.
Tylko nie nudź, mitrego,
Szkoda tracić i chwili.
— A to mi zuch, to tęgo!
Tamci obaj stchórz yli,
A tyś dotrwał rozumnie.
Lepsza szansa w ostatku...
No przegrałeś, płac bratku!
— Co pilnego? masz u mnie.

SZACHY.

ZADANIE XLV.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Ner 44.

Białe.

- 1) B 3 — D 2†.
- 2) F 2 — F 3†.
- 3) A 3 — E 7†.
- 4) B 7 — B 8 (laufer) † i mat.

Czarne.

- 1) D 3 — D 2 biorą.
 - 2) E 4 — E 5
 - 3) E 8 — E 7 biorą.
- Gdy czarne w 3ciém posunięciu zaślą króla lau-
frem z D7—E6, to królowa z E7—C7† i mat. Gdy-
by zaś w 1ém posunięciu nie wzięły konia D2, lecz
usunęły się z królem na E5, to widocznie mat na-
stąpiłby tak samo, ale w 3ém posunięciu.

REBUS.



WTOREK
ŚRODA
CZWARTEK
SOBOTA

MARIE.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 64.

Siedzi zając pod miedzą, myśliwi o nim
nie wiedzą.